NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 247·— Marek, Półrocznie 494·— Mk. Rocznie 988·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 96 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 20 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 11. czerwca 1921. Nr. 24.

Grom górnośląski



Przysięga kosynierów w jednej z górnośląskich miejscowości.

W niniejszym numerze podajemy cały szereg senzacyjnych zdjęć fotograficznych illustrujących powstania ludu polskiego na Górnym Śląsku

Grom górnośląski.

Przedwojenny świat dyplomatyczny, sfery polityczne i opinia publiczna nie ukrywały, że w Bałkanie tkwi wielka błyskawica, która kiedyś jak gromem uderzy w świat cały wielką wojną. Sprawdziło się. Z bałkańskich gór padł pierwszy strzał wielkiej wojny, jakoby głos dręczonego ludu, wołającego o wolność nietylko polityczną, lecz także gospodarczą.



Grom górnośląski: Dyktator górnośląski Wojciech Korfanty.

I trzeba było wielkiej wojny, całego morza krwi, milionów żyć ludzkich, miliardów łez, nieszczęść i ofiar, by na Bałkanie zagasło gniazdo wojennych błyskawić, by biedna Serbia przestała się dusić na swej własnej ziemi, by wieki dręczony lud słowiański wyrwano ze szponów zaborczych sąsiadów.

Jednak obecnie europejski świat dyplomatyczny z p. Lloydem Georgem na czele widocznie przychodzi do przekonania, że Europa nie obejdzie się w przyszłości bez nowego Bałkanu. Temu nieszczęściu należy bezzwłocznie zapobiedz. Jedna wielka mowa p. Lloyda George'a stwarza nowy Bałkan w sercu Europy. W łasce darowano życie Serbom, a gotują śmierć rdzennie polskiej ziemi. Co to może szkodzić dyplomacyi, że ta ziemia z półtora milionem rdzennych Polaków pozostanie w jarzmie pruskiem. Przecież musi się stworzyć racyę bytu dla Rady Najwyższej, dla Rady Ambasadorów, Ligi Narodów innych według zdania p. Lloyda George'a bardzo potrzebnych instytucyi dla polityki angielskiej. Przecież, gdyby Anglia pozwoliła na sprawiedliwe załatwienie każdego narodowego zagadnienia, każdej sprawy politycznej i gospodarczej, to nikt by Anglii nie kłaniał się z pokorną prośbą o protekcyę. A tak wkoło zbiera Anglia honory i rośnie w godności i pierze.

Gdy tylko sprawa górnośląska zbałkanizowała w pierwszym rzędzie sam kraj i gdy ta bałkanizacya zbudziła dyplomacyę ze snu, wyrwała nawet z objęć siesty Amerykę, wszystkie narody i wogóle publiczną opinię, Anglia zbiera hołdy. Niemcy kłaniają się nisko, grożą całemu światu sojuszem angielsko-niemieckim i przygotowują stryczek dla Neo-Bałkanu na G. Śląsku, obiecując światu o wiele lepiej go zacieśnić, aniżeli to czynili Austryacy na półwyspie bałkańskim ze swymi wspólnikami. A tem bardziej będzie ten Bałkan kipiał i błyskał, im lepiej uda im się wciągnąć w bałkańskie bagno Polskę.

Bronienie traktatu wersalskiego mimo całej swej jasności nie obowiązuje wobec tego dyplomacyi. Przecież musi znaleźć żer na przyszłość. A więc: uroczyście po zwycięskiej wojnie głosi się światu, że Niemcy winny wywołania wielkiej rzezi europejskiej. Narody wszystkie bez wyjątku przyznają, że to prawda. Koalicya uchwala: Niemcy muszą być za to ukarane. Jednak Niemcy sąsiadują z nowym Bałkanem. One podtrzymują wrzenie w sercu Europy. Więc p. Lloyd George dodaje im otuchy i broni ich przed karą.

Dalej koalicya uchwala: Niemcy muszą zapłacić odszkodowanie za popełnianie barbarzyństwa w czasie wojny. Anglia broni ich wszelkiemi siłami.

Uroczyście ogłoszono prawo samostanowienia narodów. Każdy naród musi być wolny i nie powinno się żadnej jego części pozostawiać w niewoli. Ale tylko po części dokonano tego wielkiego dzieła. Trzeba własną ziemią polską z milionem przeszło najdzielniejszego narodu polskiego pozostawić w niewoli pruskiej, by znaleźć zajęcie.

I p. Lloyd George nie pomylił się. Anglia ma wielkie zrozumienie dla światowych spraw gospodarczych, wobec których kwestya granic i równowagi sil między państwami nie mają znaczenia. Dlatego tylko p. Lloyd George nie miałby nic przeciwko temu, gdyby niemieckie wojska wkroczyły na neutralne terytoryum G. Śląska, a wyraźnie gwałci postanowienia traktatu mówiąc, że G. Śląsk jest prowincyą niemiecką.



Grom górnośląski: Były naczelny wódz sił powstańczych Nowina-Doliwa.

Równocześnie nic go nie obchodzi tak uroczyście wyrażona wola ludu górnośląskiego. Ten czynem głosi, że pragnie być wolnym. Gdy pierwszego maja



Grom górnośląski: 1) Przed kwaterą sztabu. 2) Barykady na ulicach Katowic. 3) Oddział powstańców przed wymarszem na front z miejsca postoju. 4) Oddział kosynierów w marszu.

padła na G. Śląsk jak grom wiadomość, że wnioski komisyi międzysojuszniczej przyznają G. Śląsk Niemcom i pozostawiają polski lud w niewoli, — ruszył się robotnik i rolnik górnośląski samorzutnie, bez najmniejszej agitacyi do walki, zajął zaraz w pierwszym dniu cały okręg przemysłowy, wszystkie sporne miasta, stanął zbrojnie nad Odrą i okazał światu polską siłę w tym kraju. Warto było widzieć radość tych ludzi w dzień, w którym ogłaszano linię demarkacyjną. Mężczyźni, kobiety i dzieci zerwały



Grom górnośląski: W kwaterze Naczelnego dowództwa.



Grom górnośląski: Sztab Naczelnego Dowództwa.

się o północy ze snu, dzwony wszystkich kościołów biły ku niebu radością, księża śpiewali „Te Deum“, lud w uroczystych pochodach z biało-czerwonemi chorągwiami urządził o godzinie 4 tej rano pochody. Naród cieszył się. Ale się mylił. To nie przemawia wcale do interesu panów dyplomatów. Tak objawia się tylko wola ludu — a oni uznają tylko swój interes.

Polacy zwyciężają na froncie, powstańcy odparli

wiada tak: kawałeczek G. Śląska otrzyma Polska, wielki kawałek polskiej ziemi po za linię Korfantego otrzymają Niemcy, a środkowe „żółtko“ weźmie w zarząd koalicya. Pytamy, co w tym projekcie uszanowano, czy postanowienia traktatu wersalskiego, czy wolę ludu górnośląskiego, czy dyplomacyi?

Ostatnie wnioski różnego kalibru, wymierzone przeciw Polsce, świadczą, że dyplomacya pracuje.

Zwłoki te sfotografowano, ponadto sfotografowano także zwłoki dziesięciu powstańców, znalezionych po bitwie pod Kędzierzynem w lesie. Sześciu zamordowanych aresztowano w domach, miano ich odesłać do więzienia do Koźla, lecz stracono ich bez sądu w lesie pod Pogorzelcami. Przed wykonaniem morderstwa Niemcy kazali im *wygrzebać sobie własnemi rękoma groby*, co trwać miało siedm godzin, gdyż nie dano ofiarom żadnych narzędzi.

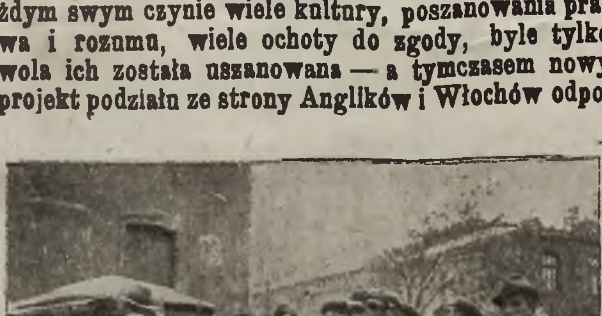


Grom górnośląski: Szef sztabu wojsk powstańczych, dr. Lubieniec.



Naczelnik Oddziału II., Czapla.

niemieckie regularne wojska nad Odrą, na północy i południu, zajęli dworzec kolejowy, objęli administracyę kraju, zorganizowali pracę, przemysł, handel, administracyę z podziwu godną energią wśród bardzo trudnych warunków, równocześnie na każdym kroku dawali dowody swej lojalności wobec władz koalicyjnych, okazali w każdej sprawie i w każdym swym czynie wiele kultury, poszanowania prawa i rozumu, wiele ochoty do zgody, byle tylko wola ich została uszanowana — a tymczasem nowy projekt podziału ze strony Anglików i Włochów odpo-



Grom górnośląski: Przed pierwszą ofenzywą na Katowice w dniu 3. maja b. r.

Ale musimy z bólem zauważyć, że wśród tej pracy nie bierze udziału jedynie polska dyplomacya.

To wszystko świadczy, że dyplomacya zamierza przejść od programu zjednoczonej, silnej Polski do programu drobnej, słabej Polski. Ta Polska bez Cieszyna, Lwowa, Wilna, Gdańska i Górnego Śląska nie będzie ani niepodległą, ani nawet cieniem gospodarczego czynnika w Europie. To nic więcej, jak rozbiór gospodarczy Polski.

Straszne okrucieństwa Niemców na Górnym Śląsku.

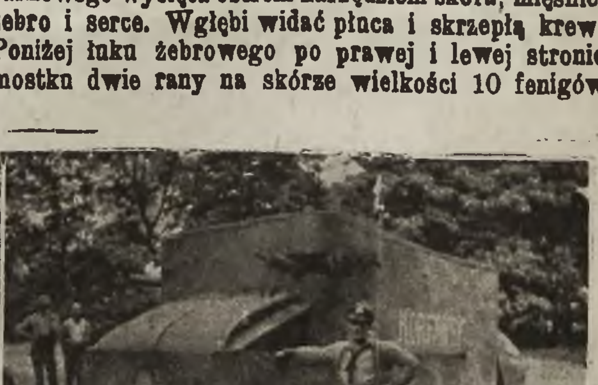
Wiadomości zamieszczone w naszych pismach, o wprost zwierzęcem znęcaniu się Niemców nad naszymi jeńcami, mogłyby się wydać komuś przesadzonemi, kto chciałby wierzyć w niemiecką kulturę. Pokazuje się przecież, że hiobowe te wieści, jakie z Górnego Śląska do nas nadeszły, są, niestety, zupełnie prawdziwe. Stwierdzają to zeznania naocznych świadków, urzędowe protokoły oględzin

Jeden z członków komisyi, mającej za zadanie zbadanie identyczności pomordowanych przez Niemców mieszkańców wsi Stare Koźle i Brzeźce, opowiada, że czynności tejże na miejscu, gdzie zwłoki zamordowanych pochowano, trwały z górą trzy godziny, każda z ofiar była bowiem zmasakrowaną w tak bestyalski sposób, że powierzchowne tylko stwierdzenie uszkodzeń zajęło sporo czasu. Zbadano zaledwie pięć trupów, szósty również ze Starego Koźla, okazywał mniej znaczne obrażenia cielesne.

Oto historyczny dokument „kultury niemieckiej“, poparty zeznaniami zaprzysiężonych świadków, zdjęciami fotograficznemi i urzędowym protokołem oględzin zwłok, który stwierdza, co następuje:

1) Leszczyk Józef z Brzeźca rozpoznany przez Jachimczyka Edwarda ze Starego Koźla.

Uszkodzenia następujące: po lewej stronie piersi od obojczyka aż do 7 żebra od mostku aż do stanu barkowego wycięta ostrem narzędziem skóra, mięśnie, żebro i serce. Wgłębi widać płuca i skrzepłą krew. Poniżej łuku żebrowego po prawej i lewej stronie mostku dwie rany na skórze wielkości 10 fenigów



Grom górnośląski: Samochód pancerny „Korfanty“.



Grom górnośląski: Na granicy Polski i Górnego Śląska. Na lewo: zamknięta ściśle granica polska, na prawo: granica górnośląska z posterunkiem „Zielonej Policyi".

robiące wrażenie ran od przypalenia (cygarem). Lewa ręka między palcem 3 a 5 przebita, trudno stwierdzić czy od kuli, czy też od gwoździa. Na lewej stronie płuc, poniżej łopatki, rana 6 cm. długa, 4 szeroka. Rana głęboka wyglądająca na ranę od bagnetu czy noża. Prócz tego widać na plecach liczne pręgi od uderzeń kijem lub grubą gumą.

2) Leszczyk Jan z Brzeźca, rozpoznany przez Russa Augusta ze Starego Koźla.

Uszkodzenia następujące: w lewej pachwinie rana od bagnetu, cienkie jelity wystają ponad ranę. Kość lewego ramienia zdruzgotana. Na stronie wewnętrznej ramienia lewego rana długości 10 cm. szerokości 6 cm. zadana ostrem narzędziem. Mózgu brak. Na prawem ramieniu i przedramieniu rany zadane ostrym instrumentem. Podobna rana na zewnętrznej stronie lewego ramienia. Na prawym pośladku rana od kuli karabinowej — strzał wielkości grochu wskazuje, że był oddany z tyłu. Na stronie wewnętrznej lewego kolana rana 20 cm. długa, 15 szeroka, zadana tępem narzędziem bez zdruzgotania kości. W okolicy serca rana 4 cm. długości, 2 szerokości zadana prawdopodobnie bagnetem. Taka sama rana pod pachą. Z zadanych ran musiały być śmiertelne następujące: rana w okolicy serca, brzucha i głowy.

Prócz wymienionych ran stwierdzono jeszcze po prawej stronie lewej łydki ranę od kuli karabinowej, oraz na stronie wewnętrznej prawego podramia ranę zadaną ostrem narzędziem.

3) Kałuża Jan, z Brzeźca rozpoznany przez Nowaka Hermana ze Starego Koźla.

Uszkodzenia następujące: poniżej obojczyka rana zadana ostrem narzędziem ze strzaskaniem mostku i dwu pierwszych żeber. Lewe ramię zdruzgotane, mięśnie przecięte ostrem narzędziem, na głowie, piersiach i ramionach ślady od bicia tępem narzędziem. Prawe ramię zdruzgotane kulą karabinową. W okolicy łopatki i prawej kości biodrowej po stronie zewnętrznej, rany zadane prawdopodobnie bagnetem.

4) Leszczyk Ignacy z Brzeźca rozpoznany przez Nowaka Hermana ze Starego Koźla.

Uszkodzenia następujące: prawy staw barkowy zdruzgotany, poniżej stawu rana, zadana ostrem narzędziem 30 cm. długa i 10 cm. szeroka. Kość w tem miejscu strzaskana. Prawy bok przebity w okolicy 11 żebra, z rany wychodzi siatka. Pod pachą ostra rana idąca pod obojczykiem w stronę szyi. Prawa dłoń przebita ostrem narzędziem. Lewy bok w okolicy 3-go żebra przebity, rana 8 cm. długa, 4 cm. szeroka. Na lewej kłnta rana. Kość pacierzowa przestrzelona w okolicy 5 kręgu piersiowego (strzał dany z tyłu). Lewy bok powyżej kości biodrowej przebity. Głowa i twarz silnie nabrzmiałe. Na plecach widać ślady pobicia tępem narzędziem, strzał kulą karabinową w okolicy kości ogonowej między pośladkami. Na lewem podramieniu przestrzał od kuli karabinowej.

5) Stolarz Leon, syn sołtysa ze Starego Koźla.

Najważniejsze uszkodzenia: pchnięcie bagnetem z tyłu w lewy bok, przestrzał kulą karabinową przez lewy pośladek w bliskości kręgu pacierzowego.

Zgodność danych stwierdzamy: (Podpisy).

W Kluczborku rozbroili Niemcy siedmdziesiąt ludzi z miejscowej „Policyi Zielonej" w tej liczbie proboszcza z Kluczborka i porucznika „Zielonej Policyi". Wszystkich przywieziono do Byczyny potem skierowano przez Namysłów do Wrocławia. Już w Namysłowie pociąg z jeńcami otoczył tłum cywilnych, chcący ich zamordować, zaś we Wrocławiu eskorta nie osłaniała jeńców zbyt gorliwie, to też kilku zabito na miejscu kijami. W więzieniu bito jeńców niemiłosiernie kijami bez powodu. Porucznika zamordowano, księdza pobito do utraty przytomności.

Ostatecznie gdy władze powstańcze wysłały celem wymiany siedmdziesięciu bojowców niemieckich, Niemcy mogli zwrócić ich zaledwie ośmnastu. Nie zwrócono także księdza.

Na specyalną uwagę zasługuje fakt, że Niemcy wywożą jeńców do Wrocławia. Nienawiść niemieckiej ludności cywilnej wywołana jest tendencyjnymi głosami prasy niemieckiej, która poprostu prowokuje wybuchy nienawiści opisami okrucieństw, rzekomo przez powstańców popełnianych.



Grom górnośląski: Karabin maszynowy na pozycyi pod Katowicami.





Defilada wojsk powstańczych przed Naczelnem Dowództwem. **Grom górnośląski**: Oddział powstańczy gotowy do odmarszu.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

— Cały dzień zeszedł mi w pracy, rano byłam w szkole, potem na lekcyi, a teraz...

— A teraz ja przeszkodziłem, lecz dłużej już czekać nie mogę, wyczerpuje mnie ta nieustanna walka zwątpienia z nadzieją. Ulituj się pani nademną, drżę przed tobą jak żak, boję się, boję się powiedzieć ostatnie słowo — umilkł, wpatrzony w nią, śledząc wyraz jej twarzy.

Podniosła się nawpół, lecz on zatrzymał ją.

— Panno Cesiu, słówko tylko, jam już nie ten co dawniej, nie żyć mi bez ciebie, o Cesiu, Cesiu! — zakrył oczy i pozostał bez ruchu.

Wzruszona pochyliła się nad nim, opuścił ręce i spojrzał na nią. — Zgadzasz się — szepnął, osuwając się na kolana i całując jej ręce.

— Wstań pan — rzekła zmięszana, prawie nie wiedząc co mówi.

— Nie, dopokąd nie powiesz mi „dobrze".

— A więc dobrze...

— O Cesiu moja, moja — tulił jej rękę do ust, każdy paluszek całował z osobna — tyś panią moją, tyś wszystkiem mojem — szeptał wzruszony, — o skarbie mój i marzenie moje, pójdziemy odąd razem, zawsze, zawsze razem.

— Siadaj pan — rzekła Cesia, przywołując uśmiech na usta — ale tu na krzesełku, nie wolno tak blisko! — uśmiechnął się, siadając. — A teraz mówmy, co pan robił dzisiaj?

— Myślałem o tobie, nic więcej nie przypominam sobie.

— Ach ja *zmuszoną* byłam pamiętać o panu...

— Zmuszoną? — zaśmiał się, chwytając znowu jej rękę.

— Nie, ręka moja do mnie należy, musimy być grzeczni — dodała, patrząc na niego figlarnie — właśnie dlatego, że jesteśmy sami.

— Dobrze — rzekł pokornie — mów pani tylko i uśmiechaj się, a będę takim, jakby legion sióstr i ciotek patrzał na mnie.

— Proszę, niech mi pan powie szczerze — zaczęła Celina nieśmiało — czy nie robił pan jakich nadziei Jadwidze, czy, bywając tutaj, nie powiedział pan jej kiedy, że bywa dla niej lub coś podobnego?

— Nie, szczerze pani mówię, że nigdy! Byłem tak zajęty panią, że tylko o pani myślałem i mówiłem, a panna Jadwiga jako kobieta, musiała to spostrzedz od pierwszej chwili. Ale dlaczego pyta pani o to?

— Bo ona ma jakiś żal do mnie, a ja szczęścia mojego nie chciałabym budować na łzach innej kobiety...

— Bądź spokojna, kochanie moje najmilsze! — zawołał patrząc na nią wzruszony — mimo wszystkich ludzkich gadań, naprawdę nic sobie nie mam do wyrzucenia. Nie bawiłem się sercem, lecz próżnością kobiecą, a gdzie spotkałem dumę i godność człowieczą, pierwszy przed nią uchylałem czoła.

— To mnie cieszy — odparła Celina z błyszczącemi oczyma — ze względu na pana i na siebie samą, pan wie „kto wiatr sieje, ten burzę zbiera". Zabieramy się do wspólnego życia, a ja tak mało znam pana.

— Pytaj pani o co chcesz, na wszystko odpowiem tak szczerze, jakbym mówił przed samym sobą. Czyż pani odąd nie jesteś lepszą połową mego „ja"?

— Dobrze, zaraz pytać gotowam, czy... czy pan mnie pokochał oddawna?

— Od pierwszego wejrzenia! Zdaje mi się, że miłość prawdziwa zawsze tak się zaczyna. Z początku było to uczucie egoistyczne, chciałem tylko własnego szczęścia, ale później jakże gorzko odpokutowałem za to. Kiedy pani zniknęła mi z oczu, dopiero poznałem, co straciłem. Nie chciałem się poddać, przywoływałem na pomoc wszystkie argumenta, jakie dotąd dopomagały mi w walce ze sobą, więc obawa zależności, ciężar obowiązków, związanie się na całe życie. Nic nie pomagało! wszystko straciło dla mnie powab, wszystko poszarzało mi w oczach. Nudziłem się, tęskniłem, żadna praca i żadna rozrywka nie dawały mi chwili zapomnienia. Wreszcie poddałem się i odąd już jedyną troską moją było zdobycie ręki pani.

Mówił przyciszonym głosem, pochylony ku niej, obejmując ją rozkochanym wzrokiem. Celina słuchała go rozpromieniona! taka miłość podobała jej się, o takiej czasami marzyła, pełna szacunku, powściągliwa, a w głębi ogniem gorejąca.

Pogrążeni w słodkiej rozmowie, zapomnieli o całym świecie. Łoskot otwieranych drzwi wyrwał ich z rozmarzenia. Wracały panny z matką gniewne i rozstrojone, a widok pana Michała przypomniał na nowo zawiedzione nadzieje. Rozpromieniony i szczęśliwy wskazał na Celinę, mówiąc: — Moja narzeczona...

Obrzuciły złym wzrokiem młodą parę, a Jadwiga zapytała impertynencko:

— Od kiedyż to?

— Przed godziną zamieniliśmy słowo, a jutro zamienimy pierścionki — odpowiedział pan Michał stanowczym tonem.

Celina widziała niechętne spojrzenia i bała się tej chwili, kiedy zostanie samą. Jakoż nie omyliła się! Po odejściu pana Michała przypuściły szturm do niej wszystkie trzy naraz. Posypały się złośliwe słowa i pełne zdziwienia zapytania. Odzie się widywali i kiedy poznali, bo przecież nie w domu pani Domejkowej, skąd Celina uciekła, ile razy miał przyjść pan Wirski. Jadwiga prosiła, aby ją nauczyła, jakto i gdzie udziela się schadzek, może i ona z tego kiedyś skorzysta. Wanda rozumiała teraz, dlaczego dyrektor tak protegował Celinę, a matka chciała się dowiedzieć, jak się łapie konkurentów, ta wiadomość bowiem przyda jej się dla córek, które są tak szczere i szlachetne.

Celina była jak ogłuszona i z rozpaczą myślała, co to będzie dalej.

Nazajutrz przyszedł pan Michał z pierścionkiem w towarzystwie starszego brata i opiekuna pana Ferdynanda. Był to pięćdziesięcioletni podżyły kawaler, bogaty i szanowany kupiec. Niski, przysadkowaty, z dużą łysiną i czerwoną dobroduszną twarzą, stanowił wybitny kontrast ze swym pięknym bratem. Rozumiał to pan Ferdynad i z uwielbieniem, zupełnie pozbawionem zazdrości, szczerze podziwiał jego elegancyę, wymowę i szczęście do kobiet. — Michaś panie tego — mawiał, podkręcając wąsa — to szelma, jak to on kłania się, uśmiecha, zgaduje, ho, ho, umie brać się do rzeczy.

A przy tych słowach zachwyt nieudany rozpromieniał twarz starszego brata.

Po włożeniu pierścionka na palec Celiny i ofiarowaniu ogromnego bukietu przez pana Ferdynanda, dwaj panowie wyszli.

— Ferdziu — rzekł pan Michał, idąc obok brata — zawsze byłeś jakby ojcem dla mnie, bądź nim i teraz. Powiedz naszej siostrze o wszystkiem, od nas dowiedzieć się powinna, a nie mam odwagi iść na pierwszy ogień.

— I dla mnie to nie miłe — odparł pan Ferdynand, krzywiąc się — wiesz przecie, jaka z niej impetyczka.

— Wiem i dlatego lękam się! Może mi coś takiego powiedzieć, czego nie przebaczyłbym jej całe życie.

— Ha, to już lepiej ja pójdę.

Tymczasem sługebna fama doniosła już pani Czarskiej o wznowionej znajomości brata z ubogą nauczycielką. Przyjęła to dosyć spokojnie, znała przecież tę jego słabostkę, ale pewną była, że to minie. Nie pierwszy raz bałamucił się, nie pierwszy raz mówiono o jego bliskiem ożenieniu. Ona sama dała się raz złudzić i wzięła na serjo grzeczności, świadczone pannie Nelli, a jednak i wtedy nie było mu to w głowie. Jeżeli z taką Nelli nie przyszło małżeństwo do skutku, to chyba nie ożeni się wcale. Kiedy już zupełnie wytłómaczyła sobie romantyczne zachcianki pana Michała, nagle jak bomba wpadła wiadomość o jego zaręczynach i to z ust wiarogodnych, bo od starszego brata.

— To nie może być — mówiła osłupiała — i z kim, z tą samą dziewczyną?

— Z tą samą — odparł pan Ferdynand. — Cóż chcesz, zasztapał! tak to tak, jak się który z nas nie ożeni wcześnie, to potem — machnął dużą ręką.

— Ale skądże wiesz to tak na pewno? — pytała z niedowierzaniem.

— Skąd wiem, to wiem, ale że prawda, to głową moją ręczę.

— Nie wierzę, przesłyszało ci się...

— No a więc ci powiem, że sam byłem na zaręczynach.

— Ty, ty...

— A ja! cóż miałem robić? prosił mnie, a dalibóg nigdy nie potrafiłem mu się opierać. Ty jedna stawałaś czasem okoniem, no ale ty... — ruszył ramionami, nie kończąc zdania.

Wreszcie pani Czarska głos odzyskała.

— Więc to tak, więc za mojemi plecami namawiacie się, więc ja już nic nie znaczę? Żeni się i to z kim? z dziewczyną, którą z powodu złego prowadzenia z domu wypędziłam.

— Cicho, o niej ani słowa! ona żoną jego będzie, a naszą bratową, rozumiesz?

— A przecież tego nie zmienicie, żem ją wypędziła — zawołała z tryumfem, czerwona jak piwonia.

— Źle zrobiłaś, zaraz mówiłem, że źle, dziewczyna była niewinna — mówił pan Ferdynand, klepiąc dłonią po łysinie.

— Niewinna, niewinna, jaki mi znawca — przedrzeźniała pani Czarska — zapomniałeś już, z kim mógł się ożenić, w jaką wejść parantelę, a przez nią wszystko rozwiało się.

— Co mi tam parantela, ja dla niego szczęścia pragnę, a tego nie osiągnąłby z tą dumną i oschłą córką biurokraty. Z Celiną powtarzam postąpiłaś źle i niesprawiedliwie, spełniała gorliwie obowiązki, była cicha i spokojna, czegoż chciałaś więcej?

— Dobrego prowadzenia, rozumiesz!

— Nie kłam i nie wykręcaj się przynajmniej przedemną — zawołał surowo pan Ferdynand — wiesz dobrze, że nic złego nie popełniła, bo czyż to jej wina, że podobała się Michałowi?

— Powtarzałam ci już nieraz, że mu wyznaczała schadzki podczas mojej nieobecności — krzyknęła ze złością pani Czarska.

— I to nieprawda — mówił coraz groźniej pan Ferdynand — rozmawiałem o tem z Michałem, a wiesz jaki on prawdomowny, otóż powiedział: Jako żywo nigdy, to ja się jej narzucałem! Widzisz jak było?

— Jesteś safandułą i wierzysz każdemu na słowo — zawołała pani Czarska czerwona jak piwonia.

— A jednak tobie nie wierzę...

— Bo cię zaślepiła ładna twarzyczka, myślisz, że cię nie znam? niedaremnie jesteś bratem Michała..!

— Tem mnie nie zastraszysz, tak samo ująłbym się za nią choćby była brzydką i starą.

— Mów to głupim, ale nie mnie — krzyczała pani Czarska zapomniawszy w gniewie o respekcie dla bogatego brata — mnie nie przekonasz, a co do tego małżeństwa zawsze powtarzać będę, że to poniżenie i że nie zgodzę się na nie. Lepiej niech zostanie starym kawalerem, lepiej niech...

— Stanie się nieszczęśliwym, prawda? — przerwał pan Ferdynand — byle się tylko spełniła twoja wola! Ale na to ja nie pozwolę, staję po stronie Michała i wszystko zrobię, aby był szczęśliwym!

— Wyrzekam się go — krzyknęła ze złością.

— To i mnie się wyrzekasz, pamiętaj! jeżeli nie odwołasz tych słów, to nie zobaczysz więcej u siebie ani mnie ani jego.

— A niech tam, wszystko mi jedno, mnie nie będą tak za nos wodzili jak ciebie.

— Dobrze — zatrzasnęły się drzwi, została sama!

— Ha, niech wiedzą co myślę o tem — mówiła chodząc pokoju cała wzburzona — niech wiedzą! Wyprawili go tutaj z radosną nowiną, sądzili zapewne, że się odrazu na to zgodzę, ba, nie znają mnie jeszcze. A ta, ta intrygantka dopięła swego, ożeni się z nią, ożeni na pewne. Westchnęła i ochłonąwszy trochę usiadła. Michał przepadł z kretesem — myślała — nic jej już z niego, ani się nim więcej przed ludźmi pochwali ani on jej nie pomoże w świecie, ale Ferdynand, tego tracić nie może. Rachują go na jakie sto tysięcy — szepnęła — a ja wiem, że ma więcej, przecież to fortuna moich dzieci, z prawa im się należy i przepaść nie może. Zanadto się uniosłam, zraziłam go, ale wszystka krew się we mnie burzy na wspomnienie tego małżeństwa, ach gdybym mogła zamknąć przed nim drzwi wszystkich znajomych, odgraniczyć go od całego świata i z nią go zostawić, ręczę, że wkrótce przeszłaby ta *szalona* miłość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

44 I.

— Niech pan mówi — zaproponował Dick Leslie, zwracając się do Roberta — ja potem dodam coś od siebie.

— Zaniesiesz Johnie list ten pani Maryi — wymówił Robert drżącym głosem.

— Dobrze.

— Powiesz jej, że pochodzi od szczerego, oddanego przyjaciela.

— Rozumiem.

— Powiesz jej, że jeżeli naprawdę czuje wstręt i ohydę do wspólnego życia z Markusem Hennerem — niech będzie gotowa do ucieczki w każdej chwili.

— Bardzo dobrze.

— Wpłyniesz na nią tak, że zgodzi się na to.

— Oh! zgodzi się z pewnością!

— Powiesz jej, że chcę ją połączyć z córką.

— Powiem jej, że pan wie, gdzie się jej córka znajduje.

— Nie wiem jeszcze, ale wiedzieć będę niedługo. Powiedz jej i to także, że skoro odnalazłem Markusa Hennera, to odnajdę także Rachelę.

— Jeżeli jednak robić będzie trudności.

— Od ciebie Johnie zależy zwalczyć je umiejętnie.

— Pani Marya jest bardzo pobożna. Pana list miłosny zmieszać ją może.

— Nie. List ten jest pełen szacunku dla niej. Obrazić jej nie może.

— Rozumiem. Co jeszcze.

— Niech pan teraz mówi, Dicku — szepnął Robert. Najważniejsza dla niego rzeczą było załatwić sprawę z listem i teraz, skoro John zgodził się wręczyć go Maryi, inne drobiazgi traciły dla niego wartość.

— Cały plan ucieczki pani Maryi musi być przeprowadzony razem z Levim — odezwał się detektyw. — Mówiliście Johnie, że on był wspólnikiem poprzednich zamiarów pani Maryi?

— Jestem tego pewnym.

— Czy nie odmówi teraz swojego współudziału — jak myślicie?

— Myślę, że nie.

— Czy to człowiek pewny? Czy nie byłby zdolny w ostatniej chwili zdradzić nas wszystkich przed Markusem Hennerem?

— Nie przypuszczam, żeby mógł to zrobić. Jednakże trzeba będzie działać z wielką ostrożnością.

— Czy możesz nam przyprowadzić Levisa jutro wieczorem?

— Tutaj?

— Do tego szynku? — zapytał Robert Alimena, patrząc ze zdziwieniem na Dicka.

— Nie! — odparł detektyw po chwili zastanowienia.

— Do mojego hotelu może?

— Także nie — rzekł Dick, rzucając wściekłe spojrzenia Robertowi. — Pan nie wie chyba, że hotele są najniebezpieczniejsze!

— Więc gdzie?

— Tutaj.

— Na ulicy?

— Tak. To najbezpieczniejsze.

— Dobrze. Więc jutro o godzinie jedenastej — rzekł John. — Levis ma wrócić do domu dosyć wcześnie, bo Henner potrzebuje go i w nocy.

— O jedenastej zatem.

— Ale badźcie panowie ostrożni — zauważył służący. — Nie mówcie źle o Markusie Henner, nie zdradźcie się z nienawiścią. Levis jest do niego bardzo przywiązany.

— A więc pozostanie z nim w takim razie — mruknął Robert niechętnie.

— Tak. Ale nam dopomagać może w tajemnicy.

— Tem lepiej — uśmiechnął się Dick. — Czy po za nim trzeba będzie jeszcze przekupić kogo?

— Nie. To niepotrzebne.

— Johnie, czy musimy się zabezpieczyć twojem słowem honoru? — zapytał detektyw, patrząc poważnie w oczy służącego.

— Nie sądzę — odpart John z prostotą. Czynię to dla dobra mojej pani. Nie żądałbym nawet pieniędzy, gdybym nie był zmuszony skryć się daleko przed gniewem Markusa Hennera. To bardzo mściwy człowiek.

— Dobrze, Johnie, jesteś uczciwym człowiekiem — wyrzekł Robert Alimena, nie mogąc opanować wzruszenia.

— Ale czy ten Levis nie zdradzi nas — szepnął w zamyśleniu Dick Leslie, zawsze pełny ostrożności i podejrzenia.

— On także jest uczciwym człowiekiem.

— Mówiliście Johnie, że to prawa ręka Hennera, jego wierny wspólnik i pomocnik.

— Tak. Henner ujarzmił jego wolę, tak jak wszystkich, którzy żyją w jego otoczeniu. Levis podziwia i wykonywa jego rozkazy, ale ponad wszystko kocha panią Maryę.

— Doskonale. Dobrej nocy, Johnie.

— Dobrej nocy.

— Ukłoniwszy się przyjaźnie, John odszedł i wkrótce zniknął w ciemnościach. Dick i Robert pozostali sami. Alimena drżał z powstrzymywanej radości i oczy jego w cieniu błyszczały jak dwa rozżarzone węgle.

— No i cóż, Ekscelencyo?

— No i cóż, Dicku?

— Jest pan zadowolony?

— Zadowolony! to mało! Szczęśliwy!

— Zawczasu jeszcze tak mówić!

— Nie lękam się niczego.

— Tem lepiej, ale trzeba być ostrożnym. Wracajmy do hotelu tymczasem, bo musimy jeszcze dobrze się porozumieć ze sobą.

Zaczęli iść szybko, w milczeniu. Robert szedł elastycznie, z zadowoleniem, puszczając kłęby dymu z cygara. Dick Leslie szedł również szybko, ale trzymał ręce głęboko wsunięte w kieszeni i głowę nizko opuścił na piersi, zastanawiając się nad czemś głęboko.

Była już druga godzina, kiedy znaleźli się w pokoju hotelowym, jasno oświetlonym i ciepłym. Robert rozebrawszy się, rzucił się na fotel i zakrył twarz rękami. Był teraz w stanie silnego podniecenia.

— Trochę spokoju, mylordzie — rzekł Dick, siadając przy nim.

— Mów, Dicku.

— Jakie są pana zamiary co do pani Maryi?

— Zabiorę ją ze sobą.

— W jaki sposób?

— Opuszczam Londyn razem z nią.

— To bardzo ładne do powiedzenia — zauważył detektyw. — W dwie godziny po opuszczeniu przez panią Maryę domu Markusa Hennera, ten spostrzeże jej nieobecność i wściekły poruszy całe miasto przeciwko niej.

— Czy sądzisz pan, że on posiada władzę księcia Galii — zaśmiał się ironicznie Robert.

— Wiem, że nie, ale to człowiek bogaty i potężny. Da on się panu we znaki.

— Wyjedziemy bezzwłocznie, nie tracąc ani minuty.

— Którędy, dokąd?

— Do Paryża.

— Nie pochwalam tego planu — odezwał się Dick poważnie.

— Dlaczego?

— Bo Markus Henner każe pilnować wszystkie parowce, odpływające z Douvres i Folkestone.

— A więc mamy pozostać w Londynie?

— Tak.

— Gdzie?

— Tutaj, w tym hotelu. Podał tu pan prawdziwe swoje imię i nazwisko?

— Oczywiście.

— Ten hotel szczególnie bywa odwiedzany przez Włochów. Markus Henner odkryje pana, zanim jeden dzień upłynie.

— Pan jest Włochem i ambasada weźmie pana pod swoją opiekę — ale nie wiadomo, do jakiej narodowości należy pani Marya.

— To nic nie znaczy. Ona tam będzie ze mną.

— Ale ona nie jest ani pana matką, ani siostrą, ani żoną!

— To prawda! Co robić Dicku!

— Zastanawiam się właśnie nad tem — odpowiedział detektyw spokojnie.

— Oh! tak! Trzeba się nad tem zastanowić — westchnął Robert.

Zaległo chwilowe milczenie. Alimena siedział ze spuszczoną głową, zatapiając się w swojem szczęściu, którego nawet trudności, wzniesione przez Dicka, nie zdołały zaćmić.

— Namyśliłem się — odezwał się w końcu Leslie.

— I co?

— Są dwa środki.

— Niech pan zacznie od lepszego.

— Nie — przeciwnie, od gorszego. Powinien pan znaleźć, ale dziś rano jeszcze yacht, gotowy do odpłynięcia w każdej chwili.

— To się da zrobić.

— Tak. Mając pieniądze, dochodzi się do wszystkiego, czego się pragnie. Ale są zawsze pewne formalności do przeprowadzenia. Musicie podać wasze warunki, a zarząd yachtu podać je jest zmuszony władzom.

— Podamy nazwiska fałszywe.

— Można to zrobić, ale to nie jest rzecz bardzo bezpieczna. Przytem yachty płyną powoli, o ile niema dobrego wiatru, podróż przedłużyć się może, a tu trzeba uciekać jak najprędzej.

— To prawda! Ale gdzie popłynęlibyśmy tym yachtem?

— Do jakiego portu angielskiego, ale daleko od Londynu. A potem przesiąść się możecie na parowiec jakikolwiek, idący do Włoch, Francyi lub Hiszpanii, gdziebądź jednem słowem.

— Gdzie ona zechce — szepnął wzruszonym głosem Robert Alimena.

— Tak. Ale zawsze jak najdalej stąd. To jest środek gorszy, bo Markus Henner zawsze będzie mógł odnaleźć ślad yachtu i dowiedzieć się, w jakim kierunku udaliście się.

— A więc ten plan porzucić musimy! — rzekł z żalem Robert.

— Nie koniecznie. Można go mieć w odwodzie, w razie konieczności.

— A drugi sposób?

— Drugi plan jest taki. Musi pan mieć powóz pocztowy o trzech koniach do swojej dyspozycyi. Nie zatrzymując się nigdzie, jechać w głąb Anglii, podróżując ciągle powozem, spędzając noce w małych, nieznanych miejscowościach, zmieniając kilkakrotnie kierunek dla zmylenia śladów i dotrzeć w ten sposób do Newportu, albo Liverpolu, lub innego jakiego morskiego portu — żeby stamtąd znową podążyć do kraju, który wybierzecie sobie za stałe miejsce pobytu.

— Ale to będzie podróż bardzo powolna — zauważył Robert.

— Być może, ale pewniejsza niż tamta. Jeżeli wsiądziecie na parowiec, łatwo będzie dowiedzieć się komukolwiek, w jakim kierunku on popłynął; jeżeli pojedziecie koleją, to będzie to samo, bo sto osób powie, że was widziało i gdzie. Ale powozem to inna rzecz! Tysiące powozów wyjeżdża co dnia z bram Londynu i nikt się nimi nie zajmuje specyalnie. A mając swój wynajęty powóz, nie potrzebujecie zdawać nikomu rachunku z celu waszej podróży.

— Ale czy konie będę mógł znaleźć wszędzie do zmiany?

— Znajdzie je pan.

— Zawsze gotowe? Bo gdyby nam długo czekać przyszło...

— Konie się znajdą zawsze gotowe do jazdy dalszej. Trzeba tylko je zamawiać od postoju do postoju.

— Doskonale.

— Oczywiście zatrzymując się na noc w hotelach, musi pan podać fałszywe nazwisko.

— Tak samo myślałem zrobić.

— W razie potrzeby będziecie mogli zawsze zmienić kierunek podróży.

— Wszystko to przedstawia się dobrze, ale czy podróż taka nie będzie zanadto męcząca dla pani Maryi?

— Nie przypuszczam. Wypoczywać możecie przy każdej zmianie koni i tym sposobem będziecie mieli sposobność poznania się bliżej.

— To prawda, Dicku. Znalazł pan dla naszej ucieczki sposób najpewniejszy i najbardziej poetyczny — uśmiechnął się Robert.

— Jak rozdział wzruszającego romansu, Ekscelencyo.

— Ale pan mi w tem wszystkiem pomoże — nieprawdaż?

— Zostałem już pociągnięty przez pana za daleko — odparł Dick. — Jestem przecież tylko ajentem, dającym informacye.

— Ale Dicku, sam pan przyznać musi, że tu chodzi o sprawiedliwą sprawę.

— Wiem o tem doskonale — ale niestety hidalgiem nie jestem.

— Mój Boże, Dicku! Jeżeli mnie pan opuści, co się ze mną stanie — westchnął ciężko Robert. — Nie znajdę sam ani yachtu, ani powozu, nic zgoła. Nie mogę przecież zwrócić się do ambasadora włoskiego, aby się zajął podobną sprawą.

Ciąg dalszy nastąpi)

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

40

Zdawał sobie z tego sprawę teraz, pomimo, że Kair, ten prawdziwy Kair dziwnych, słabo oświetlonych, jaskrawych mieszkań, przenikliwej muzyki, wymalowanych dziewczyn, palaczy haszyszu i tego śpiewu, który w mistycznej godzinie głosił chwałę Stwórcy — obudził w jego wschodniej naturze pragnienie zanurzenia się w życie, które znali jego przodkowie, życie wschodnich żydów.

Pomimo tego wszystkiego, wiedział teraz, jakim był właściwy cel jego przybycia.

Z żalem opuścił Kair. Starnworth proponował mu przyłączyć się do jego trzytygodniowej wycieczki, projekt ten bardzo mu się uśmiechał. Z ustaniem pracy, z nagłą zmianą trybu życia przyszło prawie niepohamowane pragnienie swobody i przygód.

Lecz nie przyjął tego zaproszenia.

Mało spał w pociągu i wczesnym rankiem był już ubrany. Z okna widział wschód słońca i po raz pierwszy był wzruszony widokiem nagich pagórków wschodniego kraju. Te wzgórza po lewej stronie rzeki delikatnie zabarwione jakby stalowemi wgłębieniami, dziko, a romantycznie zarysowane pobudzały jego wyobraźnię i potęgowały żal do życia, które obrał. Dlaczego nigdy nie był tutaj przedtem? Dlaczego doszedł do średniego wieku w ciasnem kole swoich zajęć? Taki Starnworth lepiej rozumiał życie, niż on. Nawet teraz w obecnej chwili nie jechał zupełnie swobodnie. Pomyślał o Lonlil. Czy nie był człowiekiem w pogoni? Mógłby zaprzestać tej pogoni, nikt go do niej nie zmuszał. Miał dużo pieniędzy i był zupełnie niezależny. Gdyby zechciał zebrać karawanę i wyruszyć na Złoty Brzeg nie było nikogo, żeby mu powiedział, nie. Mógłby się udać, gdzieby chciał, zapominając, że są chorzy ludzie na świecie, zapominając o wszystkiem, z wyjątkiem tego, że był na swobodzie, w kraju, gdzie się czuł u siebie.

I zastanowił się, czy mógłby zapomnieć, że są na świecie ludzie chorzy. Przyszły mu na pamięć słowa napisane w pewnym liście i słowa wypowiedziane przez jednego znajomego w hotelu—i nie był go pewny.

Przybywszy do Luksoru Isaacson nie przyjął natarczywych propozycyi odwiedzenia go i udał się pieszo do hotelu. Sezon był w całej pełni, a Luksor centrum podróżnych. Pomimo wczesnej godziny miasteczko roiło się od nich. Doszedłszy do rzeki Isaacson zobaczył wielki steamer Cook'a, na którym turyści jedli śniadanie, przechadzali się, stali oparci o poręcz gawędząc i żartując z uśmiechniętymi brunatnymi ludźmi stojącymi na wybrzeżu. Trochę dalej stał mniejszy steamer i długi rząd dahabijeh z powiewającemi flagami różnych krajów. Przy zachodnim, piaszczystym brzegu, który dalej zieleniał zbożem, ażeby znowu przejść w jałową pustkę, otaczającą ruiny Teb, widać było jeszcze liczniejszy rząd dahabijeh; wysokie ich maszty ostro się rysowały na tle czystego nieba, co zapowiadało dzień pogodny. Około dziewiątej zaczęło być gorąco. Isaacson był z tego zadowolony, lecz pragnął rozpędzić ten tłum wesołych turystów i pozostać sam wśród brunatnych dzieci Nilu.

Zbliżając się do Winter-Palace-Hotel dojrzał na tarasie swych znajomych. Gromadka dragomanów stała opodal. Jeden z nich podszedł do niego i skłoniwszy się, rzekł:

— Dzień dobry, mój panie. Pan potrzebuje dahabijeh? Mam bardzo dobry dahabijeh. Pan odpłynie dzisiaj — nie zostaje w hotelu. Jednę noc lepiej przespać. Kiedy ranek nadejdzie opuścimy tych hałaśliwych ludzi; udamy się wśród egipskich ludzi. Tutaj — wyciągnął brunatną rękę z zakrzywionymi palcami — tutaj ludzie są prości, sprawiają dużo zgiełku. Pan nie byłby tutaj szczęśliwy, mój dobry panie.

Łajdak czytał jego myśli.

— Jak się nazywasz?

— Hassan ben Achmed.

— Zobaczę później.

Isaacson wszedł do hotelu.

Po kąpieli i przebraniu się wyszedł na słońce. Chwilę stał na słońcu radując się promienną pogodą. Spojrzał na dół i zobaczył długie, białe zęby Hassana w kuszącym i porozumiewawczym uśmiechu. Za tymi zębami była rzeka, na którą Hassan zapraszał w milczeniu. Spoglądał na wyniosłe maszty i wahał się. Hassan ukazał więcej zębów.

W tej chwili, pacyentka która w swym liście z Luksoru wspominała o Niglu, nadeszła z okrzykiem zdziwienia i radości. Przez godzinę prawie rozmawiał z nią przechadzając się po tarasie. Kiedy w końcu znikła w kierunku świątyni Luksoru w towarzystwie podejrzanie wyglądającego dragomana, „najinteligentniejszego, najlepiej myślącego starego prostaczka Górnego Egiptu" — Isaacson zeszedł ze schodów i podszedł do Hassana.

— Gdzie jest dahabijeh, o którym mówiłeś? — rzekł. — Chcę go obejrzeć.

Tegoż wieczoru przed samym zachodem słońca wszedł na pokład Fatmy, jako jej czasowy właściciel.

Targował się parę godzin i czuł się znużonym, lecz tryumfującym stojąc na górnym pokładzie z nieuknikniony Hasaanem, podczas gdy załoga zawracała łódź z brzegu na złotą rzekę. Pomimo nalegań swej pacyentki i różnych znajomych, których spotkał w Luksorze, wydał rozkaz, żeby popłynąć na drugi brzeg Nilu. Tam będzie miał spokój.

Znajomi żegnali go z hotelu, poganiacze osłów kłaniali się, turyści stawali i patrzeli. Odpowiadał na pożegnania i ukłony, lecz już nowe uczucie się w nim budziło, już zapomniał o zgiełku Luksoru. „Reis" stał na swej podniesionej platformie u steru nieruchomy jak posąg z bronzu. Wielki żagiel zwieszał się z masztu. Wtem wiatr powiał i brzeg zaczął się zwolna cofać. — Fatma ślizgała się po zmarszczonem złocie rzeki. Isaacson stał sam wśród swych Egipcyan i widział pierwszy zachód słońca na Nilu. Od strony Teb płynęły łodzie, żeglarze śpiewali w takt wioseł. Mrs. Armine często tę pieśń słyszała. Teraz Isaacson ją słyszał i pomyślał o bijącem tętnie pewnej symfonii, której słuchał z Niglem i o bijącem tętnie życia; myślał także i o przeznaczeniu często dla ludzi fatalnem. I pogrążył się w podziwie tego złotego, starego świata.

— Nie przywiązuj łodzi blisko żadnego innego dahabijeh.

— Nie, panie — odrzekł Hassan.

— Dwóch ludzi wyskoczyło z łodzi ciągnąc linę, którą przywiązali na noc Fatmę w ustronnem miejscu.

Złoto bladło. Gdzieniegdzie, daleko, jakieś okno, na które padł ostatni promień słońca błyszczało w łagodnym zmroku. Isaacson oparł się o poręcz. Po tylu miesiącach nieustannej pracy w mieście, pozbawiony prawdziwego światła czuł się jak człowiek wprowadzony do nieba. Za nim, nagi fellah, niebaczny na jego obecność śpiewał w bladnącem złocie.

Przez długą chwilę stał bez ruchu. Oczy jego zatrzymały się na białym domu widocznym po przez przestrzeń wody. Stał samotny i okna jego błyszczały jak klejnoty.

— Kto mieszka w tym domu? — zapytał Hassana.

— Angielski lord. Lord Arminigel. Lecz niema go teraz tutaj.

— Jak się ten dom nazywa?

— Willa Andrond, mój dobry panie.

— Willa Andrond!

A zatem tutaj schronił się Nigel na swój miodowy miesiąc z Bella Donną. Okna błyszczały jak klejnoty, darowane jej przez wielbicieli.

Noc zapadała. Śpiew fellaha umilkł. Gwiazdy się ukazały, w miejscu, gdzie dawniej stała Lonlia, stała teraz Fatma. Isaacson jadł pod gwiazdami samotny obiad. Jutro o świcie wyruszy w swą podróż w górę rzeki. Podąży za Lonlią. Po obiedzie odprawił Hassana i przechadzając się po pokładzie palił cygaro. W łagodnej ciemności tej przepięknej nocy widać było światła Luksoru i dochodziły dźwięki cichej, barbarzyńskiej krajowej muzyki.

Jutro podąży za Lonlią.

Jego pacyentka w Luksorze dużo mu opowiedziała. Jedną z jej największych przyjemności w życiu były plotki. I opowiedziała swemu kochanemu doktorowi wszystkie nowiny. A więc co do Armine'ów, że Nigel doznał porażenia słonecznego w Tebach i był zanadto chory, „żeby to mógł wypowiedzieć" i że Lonlia po krótkim pobycie blisko Luksoru popłynęła w górę rzeki i prawdopodobnie znajduje się niedaleko świątyni w Edfu. Żywa dusza nie mogła zwiedzić tej cudnej łodzi, jednemu tylko amerykaninowi, lekarzowi bardzo czułemu na wdzięki niewieście dozwolono dostać się na nią. Postawił dyagnozę, że to porażenie słońcem, przepisał Niglowi kuracyę i wrócił poprostu oczarowany Mrs. Armine. Isaacson pragnął się z nim widzieć, lecz ów lekarz pojechał do Assnan.

Na niższym pokładzie żeglarze zaczęli śpiewać. Isaacson przechadzał się tam i napowrót i myślał.

Po rozstaniu się ze swą gadatliwą pacyentką mógł był zatelegrafować na Lonlię, gdyż telegraf dochodził do Edfu. Byłoby zupełnie naturalną rzeczą zawiadomić przyjaciela o swem przybyciu. Dlaczego nie uczynił tej naturalnej rzeczy? Instynktownie czuł, że nie powinien iść prostą drogą. Gdyby Nigel znajdował się sam na Lonlii, telegram zostałby z pewnością wysłany. Lecz Nigel nie był sam. Szpieg był przy nim, ona, która przyszła szpiegować na Cleweland-Square. Być może, że to było niedorzeczne, lecz wspomnienie Bella Donny wstrzymało Isaacsona od oznajmienia swej obecności na Nilu. Postanowił przyjść do niej tak, jak ona przyszła niegdyś do niego. Ukazała się na Cleweland-Square z ukrytą intencyą. On się jej ukaże w cieniu świątyni Horusa. A jego ukryta intencya? Może nie miał żadnej. Był człowiekiem, który nieraz kieruje się instynktem.

I ufał mocno swej instynktowej nieufności do Bella Donny.

Fatma nie była wspaniałą łodzią, jak Lonlia. Była niewielka, marnie urządzona, pozbawiona wszelkiego zbytku, nawet komfortu. Tej nocy Isaacson leżał na materacu tak cienkim, że czuł deski pod sobą. Woda szemrała po obu stronach łodzi, zdawało się, że to kilka głosów prowadzi tajemniczą rozmowę wśród ciszy nocnej. Długi czas leżał w ciemności nie śpiąc. Jak różną wydawała mu się ta ciemność od ciemności Londynu! Myślał o wielkich świątyniach w pobliżu, o królewskich grobowcach, o tych wszystkich cudach, do których się zjeżdżają ludzie ze wszystkich stron świata. A on odpłynie o świcie, on, który nic nie widział! To się wydawało szaleństwem.

Jego znajomi byli zdumieni, kiedy ich zawiadomił o swym natychmiastowym wyjeździe. A on pragnął, chciał widzieć cuda, które znajdowały się tak niedaleko od niego. Karnak ze swymi pylonami, dziedzińcami, posągami, Ramzesami i ten smutny król, który wieczne patrzy w pustą przestrzeń przed sobą.

Pragnął widzieć to wszystko i wiele innych rzeczy jeszcze.

Lecz jeszcze więcej pragnął spojrzeć na chwilę w oczy pewnej kobiety, ująć rękę i spojrzeć w twarz pewnego mężczyzny. I ucieszył się, kiedy o świcie usłyszał stąpanie bosych nóg i głosy nad głową, i kiedy dahabijeh ruszył, a woda Nilu przemówiła innym, szybszym głosem.

Cieszył się, gdyż płynął w stronę Edfu.

IX.

Człowiek pracy czuje zwykle znużenie w pierwszych dniach niespodziewanych wakacyi, później dopiero następuje odnowienie sił i energii.

Tak było teraz z Meyerem Isaacsonem. Opuścił swoje spartańskie łóżko rzeźki i ożywiony. Wyszedł na pokład pełen zaciekawienia, lecz w ciągu dnia, długiego dnia złotego, słonecznego blasku, sen Nilu przytulił go zwolna do łona, jakże dziwną wydawała mu się ta bezczynność, jak dziwną ta samotność! Gdyż odprawił Hassana i siedział na pokładzie sam z Rersem, który za nim stał podobny do posągu.

Fatma płynęła powoli, czołgając się po zielonkawo brunatnych falach jakby jakiś potworny wodny owad, płynęła pod wodę i wiatru było mało. Załoga ciężko pracowała w palących promieniach słońca. Isaacson siedząc w rozkładanem krześle przypatrywał się ich pracy. Inercya fizyczna pociągnęła za sobą i umysłową. Cudowna jednostajność Nilu czarowała go. Fellahowie pracujący na brzegu śpiewali zwracając oczy na południe. Upał unosił się nad wszystkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Wlazłszy raz w politykę, trudno z niej wybrnąć podobnie jak z błota. Choć letnia pora do politykowania nie usposabia, trzeba w dalszym ciągu snuć jej wątek, aby mieć spokój, gdy nadejdą czasy prawdziwie kanikularne, to jest lipiec i sierpień, które w dawniejszym czasie wielcy i mali politycy spędzali w Maryenbadzie, naśladując w ten sposób ś. p. króla angielskiego Edwarda, nadającego ton modzie i polityce.

Dziś o wyjeździe do Maryenbadu nie ma mowy. Bo i po co?... Tam się przeprowadzało kuracyę odtłuszczającą, takich zaś szczęśliwców, którzy potrzebowaliby obecnie podobnego leczenia znalazłoby się niestety bardzo mało między nami. Raczej należałoby się rozglądnąć za czemś wprost przeciwnem by nabrać tuszy i módz korzystać z resztek garderoby przedwojennej, grożącej każdej chwili... „upadłością". Na kupienie szelek, które kosztują ponad tysiąc marek, nie każdego stać, paska dziś nikt nie używa, aby jego widokiem nie budzić niepotrzebnie wyrzutów sumienia.

Łykanie świeżego powietrza jest zalecane przez największe powagi lekarskie świata, między innemi także i przez fizykat miejski, dążący stale do tego, aby przez posunięcie rogatek miejskich doprowadzić do Krakowa jak najwięcej tego, dla ludzkiego zdrowia tak nieocenionego środka. O ile kto chce zatem, szanując swe zdrowie, łykać świeże powietrze w tym czasie, może to uskutecznić gdzieś w Zakopanem, Krynicy lub innej podobnej miejscowości, musi być jednak na to przygotowany, że ten zabieg wpłynie wprawdzie bardzo korzystnie na jego zdrowie, ale przyczyni się też i do gwałtownego „odtłuszczenia" jego kieszeni, które nie każdy organizm znieść jest w stanie. Ten leczniczy proceder lepiej zatem przeprowadzić na miejscu, a wtedy nie kosztuje on tyle.

Aby wzmocnić nadwątlone pracą siły, postanowił zatem kronikarz skorzystać ze sposobności póki wdychanie świeżego powietrza nie należy jeszcze do „dodatkowych świadczeń", za które trzeba osobno dopłacać i łykać je pełną piersią.

Najlepiej nadaje się do tego celu Park ludowy na Woli Justowskiej, gdzie i powietrze jest pierwszej klasy i skąd widok bardzo piękny. Ma się zaś połączone ze sobą dwa systemy kuracyjne, to jest inhalacye, wskazane przez pana fizyka i kuracyę metodą ks. Kneippa, wyszedłszy bowiem za miasto można zupełnie spokojnie zdjąć trzewiki, zawiesić je na lasce lub parasolu i dymać dalej „na bosaka". Spotkawszy się ze znajomym, powiada się, że w grę wchodzi tutaj tylko troska o zdrowie, gdy tymczasem na pierwszy plan wysuwają się też względy oszczędnościowe i obecna drożyzna obuwia.

Zaglądnął zatem kronikarz do kalendarza „stuletniego", który, jak się już raz rzekło przed kilku tygodniami, ma to do siebie, iż przepowiednie jego spełniają się... raz na sto lat i przekonał się, że na początek czerwca zapowiada słotę, że można się więc spodziewać stałej pogody.

Z tem „łykaniem" trzeba się także spieszyć, z powodu bowiem wysokich ceł ochronnych napływ świeżego powietrza z zagranicy zupełnie ustał, to zaś, jakiem obecnie rozporządzamy, może być bardzo łatwo wyłykane, a magistrat ogłasza, że zapasów rezerwowych w swych magazynach nie posiada, choć, jak się ciągle mamy sposobność przekonać, są one wypełnione przeważnie tylko świeżem powietrzem.

Codziennie wczas rano, gdy część mieszkańców Krakowa jeszcze śpi w najlepsze, a druga „jeszcze nie śpi", zabawiwszy się nieco dłużej gdzieś w wesołem towarzystwie, kronikarz sunie na Wolę Justowską, na Błoniach zdejmuje trzewiki, zawiesza je na lasce (parasola nie posiada...) i następnie wybierając miejsce najbardziej trawą zarosłe, a wolne od ozdób, jakie tam miłe krówki pozostawiły, kieruje się w stronę Sikornika. Dotąd udały mu się już trzy podobne spacery, w czasie których deszcz go nie zmoczył, ani złodziej nie okradł, bo i to, wobec niebardzo korzystnych stosunków bezpieczeństwa, szczególniej w bezpośredniem sąsiedztwie miasta, nie jest wykluczone.

Grzybów przy tej sposobności nie zbierał, gdyż ich nie widział, śpiewu słowika także nie słyszał, ale rozmawiał zato z pewnym obywatelem, nazwisko to noszącym, a przybyłym na Wolę Justowską w tym samym, co i on celu. Poza łykaniem zdrowia-dajnego powietrza, przekonał się także na swoje własne oczy, że urodzaje zapowiadają się w tym roku bardzo pięknie, co za tem idzie, będą paskarze mieli co wywozić za granicę, a my będziemy dalej, tak jak dotąd głodować. Już dziś oświadczają agrarynsze, że o jakimkolwiek spadku cen i mowy niema, owszem, w miarę obniżania się wartości naszej waluty, nad czem sami tak skutecznie i gorliwie pracujemy i ceny pójdą odpowiednio w górę. Nasze zboże wywozi się, jak się to dotąd czyniło, za granicę, aby je tam tanio sprzedać, a potem zakupić je z powrotem... po wysokich cenach. Ożywia się przez to, co prawda, nasz handel i stosunki z zagranicą, gorzej zaś wychodzą na tem nasze żołądki i kieszenie. Zupełnie tak samo, jak ze zbożem, dzieje się i z cukrem.

W sprawie urodzajów i cen produktów rolnych rozmawiał kronikarz jedynie z tak zwanymi „wielkimi agrarynszami", czyli obszarnikami, z nałogu bowiem noszącymi popularną nazwę „biedroniów", nawet i gadać nie można. Każdy i każda z nich uważa za ujmę dla swego honoru wdawać się w jakieś dyskusye z „ciarachem", który szuka tylko sposobności, aby biednego chłopka wyzyskać i oszukać, a sam krzyczy „gwałtu", jeżeli mu się sprzeda mleko, rozwodnione zanadto, lub masło, z dodatkiem ziemniaczanej miazgi.

I mimowoli przyszło na myśl kronikarzowi, jak też będzie wyglądał ten świat, a szczególniej nasze biedne skurczone żołądki, gdy w całej swej rozciągłości przeprowadzoną zostanie reforma agrarna, w Polsce będzie jedynie mała własność, obszarnicy zaś przejdą do historyi i będzie się o nich wspominać, jak dziś o mamutach lub innych przedpotopowych potworach.

I wycieczka zatem „dla zdrowia", może nasunąć temat do politykowania, tym razem przecież z bardzo ujemnym wpływem na zdrowie, zwłaszcza dla jednostki, która sama nie orze, ani sieje, a jeść musi, skazaną jest zatem na łaskę i niełaskę rolników. Dotąd mieliśmy „wielkich i małych" i istniała między nimi konkurencya, co jednak będzie, gdy zostaną sami „mali" i ci zabiorą się po swojemu do naszej skóry?.. Chce się płakać, gdy coś podobnego się przypomina, a żołądek, w złem przeczuciu losu jaki go czeka, kurczy się już zawczasu... Jest źle, może będzie jeszcze gorzej. Ludność miast skazaną zostanie na wygłodzenie, obronną ręką wyjdą chyba jedynie środowiska przemysłowe, o które trzeba się starać ze względu na nasz handel, przemysł, stosunki z zagranicą i t. d. Ale o mieszkańców i to do tego pracujących umysłowo, nikogo głowa nie zaboli, choćby nawet i połowa ich wymarła z głodu. Ludowa Polska obejdzie się zupełnie dobrze bez nich.

Obecnie ma reforma rolna wejść na porządek dzienny obrad Sejmu w formie nagłego wniosku, postawionego przez P. S. L., by Rząd przystąpił natychmiast do akcyi wywłaszczenia, by posłowie ludowi mogli się wykazać wobec swych wyborców, że nie próżnowali. A pośpiech jest wskazany, gdyż dni obecnego Sejmu są już policzone, a do nowych wyborów zaczynają się przygotowania. Należy więc korzystać ze sposobności, aby przed wyborcami nie stanąć z próżnemi rękoma i zyskać nadal ich zaufanie. Starając się przed dwoma laty o mandaty, zapowiedzieli swym wyborcom, że im dadzą ziemię i dotrzymali słowa, choć nie zastanowili się nad tem, czy też ogół odniesie z tego korzyść, czy na tem ucierpi.

Kronikarz jest zdania, że owa reforma, w tym duchu, jak ją uchwalono, nie tylko nie wyjdzie ogółowi na pożytek, owszem będzie z jego szkodą, a odczują ją głównie mieszkańcy miast i środowisk przemysłowych, więc nie tylko ludność pracująca umysłowo, nad której losem przechodzi się dziś z zasady do porządku dziennego, ale i pracująca fizycznie, więc obecnie uprzywilejowana. Bo i cóż z tego za pożytek dla kraju, że Jan Kogut, lub Wojciech Pasternak, który był dotąd wyrobnikiem, będzie teraz mógł gospodarować na swych własnych kilku morgach (i bawić się w pasek...), gdy odczują to bardzo boleśnie żołądki całego kraju.

I znów wylazło przy tej sposobności szydło z worka, że interes ogółu idzie w kąt przed interesem partyjnym.

Ludowcy, przeprowadzając reformę rolną, postawili zatem na swojem, ale to jest łatwo zrozumiałe, jeśli się zważy, że rozchodziło się w tym wypadku o ich „być, albo nie być". Gdyby nie byli przeprowadzili ustawy, bodaj na papierze, aby się mieć czem wykazać wobec wyborców, trzeba by się było pożegnać z mandatem. Wiedzieli zaś dobrze, która strona jest u naszego chłopa najczulszą i w tę uderzyli, trzeba przyznać, ze skutkiem.

Masy bezrolnych i małorolnych mają więc powód do zadowolenia, że ich posłowie „galanto się spisali", czy jednak może powiedzieć to samo o swych posłach robotnik lub wyrobnik, czy to w mieście, czy w jakiem wielkiem środowisku przemysłowem, gdyż reforma ta da się mu najdotkliwiej odczuć, skazując ich na zaopatrywać się w najniezbędniejsze artykuły codziennego życia u drobnych handlarzy, gdy dotąd mieli do czynienia z grosistami i to było dla nich korzystnem, regulowało bowiem ceny i chroniło od wyzysku. A właśnie posłowie socyalistyczni, więc rzecznicy interesów pracującego ludu, miejskiego i fabrycznego, aby do swego rydwanu przykuć tem silniej ludowców i módz swe wpływy z czasem i na wieś rozszerzyć, popierali bardzo energicznie reformę, nie spotkali się przecież z poważniejszą krytyką swego postępowania ze strony swych wyborców, którzy z góry uznają za dobre wszystko to, co postanawiają ich wybrańcy. Pytanie także, czy na tem koleżeństwie z socyalistami wyjdą dobrze sami ludowcy?... Odpowiedź nie trudna, że nie, mogą bowiem stracić bardzo łatwo swe dotychczasowe wpływy na wsi, gdy się tam zjawi agitator socyalistyczny i wykaże czarno na białem, że ową zmianę mają tylko im do zawdzięczenia. Znajdą zaś ich głosy posłuch u wieśniaków, gdyż ich właśnie posłowie wskazują im na socyalistów, jako na ich przyjaciół i obrońców ich interesów.

Już to wogóle przyznać trzeba, że my do „reform" jakoś szczęścia nie mamy. Zamiast naprawić stosunki, one je psują.

Niechaj przypadkiem nie posądzi kto kronikarza, że przemawia przezeń strach, że będzie w najbliższym czasie wywłaszczony ze swej „wielkiej posiadłości"!... Dobra ziemskie, co prawda, posiada, ale ...na księżycu, a tam dotąd o jakiejś reformie rolnej nawet mowy niema. Uważa jednak, że zniesienie wielkiej własności nie wpłynie bynajmniej dodatnio na podniesienie naszej produkcyi rolnej, przeciwnie, nawet ją obniży, gdyż na małych przestrzeniach nie można prowadzić tak intenzywnej gospodarki, jak na wielkich obszarach, poza tem mały rolnik, w jednej zaś osobie i mały handlarz (...może i mały paskarz?... przyp. zecera), nie będzie się już musiał liczyć z konkurencyą wielkiej własności i da folgę swej zachłanności na grosz, która się streszcza w jego życiowej dewizie, skierowanej pod adresem mieszczucha: „Nie chcesz umrzeć z głodu, to płać"!...

Powie kto może, że i mały rolnik potrafi gospodarować bardzo postępowo, tworzyć kooperatywy, sprowadzać wspólnie ulepszone narzędzia rolnicze i t. p. Brzmi to, co prawda, bardzo ładnie, ale w praktyce przedstawia się zupełnie inaczej. Trzeba znać nasz ludek, aby wiedzieć, że na wsi taka wspólna praca się nie uda, co bowiem jest dobre dla jednego, wyznającego zasady, głoszone przez „Piasta", to będzie zwalczał drugi, z pod znaku Stapińskiego, Stojałowczyk i t. d., a stronnictw dziś na wsi nie mniej, niż w mieście.

Produkcya rolnicza i tak dziś słaba, choć jesteśmy krajem *de nomine* rolniczym, ucierpi zatem na wprowadzeniu reformy agrarnej w sposób bardzo dotkliwy, a tego chyba jej autorowie, a przynajmniej rozsądniejsi z nich, nie mieli prawdopodobnie na celu. Dziś narzekamy na konkurencyę zagranicy, skąd musi się sprowadzać zboże, a co będzie wtedy, gdy wielka własność zniknie z horyzontu?...

W ślad za reformą rolną powinna pójść i przemysłowa, abyśmy już całkiem mogli zejść na dziady. By uratować interesy drobnych rękodzielników, powinien się znaleźć jaki ich opiekun i wystąpić w Sejmie z wnioskiem, aby u nas wogóle skasować przemysł fabryczny, a wyrób przedmiotów, wykonywanych dotąd we fabrykach, powierzyć jedynie drobnym rękodzielnikom, by w ten sposób ratować ich byt materyalny. Wobec bezkrytycyzmu, jaki panuje w naszem społeczeństwie, podobny wniosek mógłby liczyć na poparcie większości...

Oj!... Biedny jesteś już obecnie mieszczuchu, ale jak ty będziesz wyglądać, gdy reforma agrarna wejdzie w życie w całej pełni, a przyjdzie i przemysłowa, w ślad za nią, którą jako swój projekt, gotów zechcieć przeprowadzić jakiś dobrodziej wyzyskiwanego przez kapitał drobnego rękodzielnika?... Drobny rękodzielnik z głodu nie zginie, gdyż za swe wyroby otrzyma drogą handlu zamiennego od drobnego rolnika niezbędne do utrzymania życia artykuły, ty jednak, mieszczuchu, zwłaszcza zaś umysłowo pracujący, który za wszystko płacić musisz gotówką, możesz być na to przygotowany, że w niedługim czasie bochenek będzie kosztować pięć tysięcy marek, para trzewików ćwierć miliona, ubranie marynarkowe okrągły milion, gdy tymczasem twoje pobory wzrosną może, jeśli dobrze pójdzie, z pobieranych dotąd sześciu tysięcy miesięcznie na dwanaście...

Zjazd episkopatu polskiego w Krakowie.

W tygodniu po uroczystości Bożego Ciała odbył się w Krakowie trzeci z rzędu zjazd polskich Książąt Kościoła. Pierwszy miał miejsce bezpośrednio po uzyskaniu przez nas samodzielności u grobu św. Wojciecha w Gnieźnie, drugi w roku ubiegłym w Częstochowie. W zjeździe krakowskim wzięli udział prawie wszyscy arcybiskupi i biskupi polscy. Przybyli między innymi: prymas kardynał E. Dalbor, kardynał A. Kakowski arcybiskup warszawski, E. Roop arcybiskup mohylewski i prymas Rosyi, K. Hryniewiecki b. biskup wileński, J. Bilczewski arcybiskup lwowski, J. Teodorowicz ormiański arcybiskup lwowski, L. Wałęga biskup tarnowski, S. Zdzitowiecki biskup włocławski, J. Nowowiejski biskup płocki, A. Łosiński biskup kielecki, M. Ryx biskup sandomierski, J. Dubowski biskup łucko-żytomierski, H. Przeździecki biskup podlaski, M. Fulman biskup lubelski, P. Mańkowski biskup kamieniecki, J. Fischer biskup sufragan przemyski, J. Klonder biskup-sufragan pelpliński, W. Kloske biskup sufragan gnieźnieński, M. Godlewski biskup-sufragan łucko-żytomirski, A. Jełowicki biskup sufragan lubelski, P. Kubicki biskup-sufragan sandomierski, R. Jałbrzykowski biskup-sufragan sejneński, A. Szelążek biskup sufragan płocki, W. Krynicki biskup-sufragan włocławski, W. Owczarek biskup-sufragan włocławski, St. Gall biskup polowy warszawski, B. Twardowski biskup-sufragan lwowski, Cz. Sokołowski biskup sufragan podlaski i Xaw. Tymieniecki biskup nominat łódzki.



Zjazd Episkopatu polskiego w Krakowie: Biskupi w procesyi ku czci Serca Jezusowego w dniu 3 czerwca b. r., prowadzonej przez Prymasa, kardynała Dalbora. Fot. „Swiatłocień", Kraków.



Zjazd Episkopatu polskiego w Krakowie: Mały Rynek w dniu 3 czerwca b r. podczas kazania ks. biskupa Fulmana. Fot. „Swiatłocień", Kraków.

W sobotę, dnia 28 maja b. r. odbyło się w Katedrze wawelskiej uroczyste *Veni Creator*, krótkie nabożeństwo u trumny św. Stanisława, poczem zeszli Książęta Kościoła do grobów królewskich, gdzie odśpiewano *Salve Regina*. W Kapitularzu katedralnym odbyło się następnie pierwsze inauguracyjne posiedzenie zjazdu, poświęconego sprawom Kościoła katolickiego w Polsce.

W niedzielę dnia 19 maja b. r. odprawili Książęta Biskupi mszę świętą u grobów Swiętych Pańskich w różnych kościołach krakowskich, poczem wzięli udział w pontyfikalnej Sumie, celebrowanej na Wawelu przez Księcia Biskupa krakowskiego w asystencyi kanoników katedralnych. Po lewej stronie ołtarza zasiedli na fotelach obaj kardynałowie, w stallach zaś biskupi i kanonicy. Na nabożeństwo przybyli: Jen. broni Szeptycki z jeneralicyą krakowską i gronem oficerów, szef wojskowej misyi francuskiej w Polsce jen. Niessel, bawiący od rana w Krakowie, szef misyi wojskowej francuskiej w Krakowie jen. Tronyo z oficerami francuskimi. Jen. Del. Rządu dr. Gałecki, starosta Kowalikowski, prezydum miasta z gronem radców miejskich, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Estreicher, prezes Akademii Umiejętności Morawski, przedstawiciele władz, reprezentanci stowarzyszeń kulturalnych i oświatowych itd. Nawy kościoła wypełniła publiczność.

Rozpoczęcie Mszy św. zapowiedział głos dzwonu Zygmuntowskiego, którego dźwięki szeroką falą popłynęły ponad miasto. Po odśpiewaniu Ewangelii przez księcia biskupa Sapiehę, wstąpił na grobowiec kardynała Fryderyka Jagiellończyka przed wielkim ołtarzem ks. arcybiskup Teodorowicz i wygłosił podniosłe kazanie na temat stosunku Episkopatu polskiego do Chrystusa i do społeczeństwa katolickiego w Polsce.

Po kazaniu nastąpiła dalsza część Sumy.

Po południu ks. biskupi odbywali poufne narady nad sprawami kościelnemi.

W tymże samym dniu odbyła się uroczystość konsekracyi nowego kościoła OO. Jezuitów pod wezwaniem Serca Jezusowego na Wesołej.

Jednym z punktów programu Zjazdu Episkopatu było poświęcenie kościoła OO. Jezuitów na Wesołej przy ul. Kopernika. Aktu tego dokonano w niedzielę. Ceremoniał konsekracyi rozpoczął się o godzinie 7 rano. Dokonał go ks. biskup Nowak w asystencyi duchowieństwa świeckiego i zakonnego. Po ukończeniu ceremoniału, który dostępny był tylko dla duchowieństwa, rozpoczęła się Suma, podczas której otwarto bramy dla wiernych. Sumę celebrował ks. biskup Nowak, kazanie wygłosił jeden z OO. Jezuitów. Około godziny 1 weszli do kościoła procesyonalnie wszyscy ks. kardynałowie i biskupi, którzy wzięli udział w uroczystem *Te Deum*.

Po dokonanej konsekracyi kościoła na Wesołej ks. Prymas Dalbor oraz cały Episkopat przyjmowali w gmachu OO. Jezuitów delegacyę górali podhalańskich. Górale przywieźli z sobą t. zw. Szarą Księgę, przechowywaną wśród ludu podhalańskiego z pietyzmem, do której się wszyscy biskupi z Prymasem wpisali.

Wieczorem Książę Biskup krakowski wydał na cześć Książąt Kościoła raut, na który zaprosił najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa krakowskiego. Książę biskup ks. Sapieha witał gości w wielkim salonie t. zw. biskupa Małachowskiego, zawieszonym obrazami Stachowicza i zapełnionym cennemi meblami, bronzami i drobiazgami z epoki baroku, empiru i Ludwika XVI.

Na dalszy ciąg programu zjazdu złożyły się obrady, które odbywały się w sali biskupa Małachowskiego w pałacu biskupim, oraz przyjęcie delegacyi stowarzyszeń katolickich, nauczycielstwa itd. Obrady trwały do dnia 2. czerwca włącznie, poczem Książęta Kościoła poczęli się rozjeżdżać, pozostali zaś jeszcze w Krakowie wzięli w dniu 3. b. m. gremialny udział w uroczystości Serca Jezusowego w nowokonsekrowanym kościele OO. Jezuitów na Wesołej. Przed południem odprawiono w kościele pontyfikalną Sumę, podczas której wygłosił kazanie ks. biskup Przeździecki, popołudniu wyruszyła zaś z kościoła doroczna procesya na Mały Rynek, odbywana dawniej z kościoła św. Barbary. W procesyi wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Zwracały uwagi liczne pielgrzymki ze Śląska Cieszyńskiego i Górnego, z Ziemi lubelskiej, z powiatów: nowotarskiego, żywieckiego, bialskiego i zbaraskiego. Udział w procesyi wzięły wszystkie krakowskie stowarzyszenia katolickie męskie i żeńskie. Przygrywały dwie orkiestry ludowe z wsi podkrakowskich. Po długim szeregu chorągwi i feretronów postępowało duchowieństwo zakonne i świeckie, kapituła katedralna, kilkunastu biskupów, w końcu ks. Prymas, niosący *sanctissimum*. Za baldachimem władze reprezentował starosta Kowalikowski.

Procesya postępowała ulicami: Kopernika, Andrzeja Potockiego, Sienną i weszła na Mały Rynek, gdzie na tle kościoła św. Barbary ustawiono ołtarz pięknie ozdobiony kwiatami. Z prawej strony ołta-



Zjazd Episkopatu polskiego w Krakowie: Książęta Kościoła opuszczają Katedrę po uroczystem „Veni Creator".

rza ustawił się chór kleryków, z lewej orkiestra 20 pp. Na wysokie podium ołtarza wszedł ks. Prymas, reszta zaś arcypasterzy uklękła w czworoboku przed ołtarzem. Po odśpiewaniu pieśni przez chór kleryków wyszedł na ambonę ustawioną naprzeciw ołtarza ks. biskup lubelski Falman i wygłosił podniosłe kazanie, wskazując na znaczenie Kościoła rzymsko-katolickiego, jako jedynego źródła wiary prawdy.

Następnie ks. Prymas odczytał akt poświęcenia władzę sprawują; ustawy nasze niech będą świętego prawa Twego odbiciem; wo sko nasze niech pod Twym znakiem strzeże granic Ojczyzny; wiedza od Twej prawdy światła zapożycza i Ciebie publicznie niech wyznaje; życie nasze całe społeczne i rodzinne niech Twym duchem się napoi i na zasadach Twych się oprze. Dziś oddajemy Ci cały nasz naród w zupełne i niepodzielne władanie, oddajemy Ci i poświęcamy jego miasta i wioski, jego prawa i zwyczaje, jego prace i trudy, jego potrzeby i je-



Grom górnośląski: Grupa powstańców.



Straszne okrucieństwa Niemców na Górnym Śląsku: Zamordowani w ohydny sposób przez bojówki niemieckie: 1) Leszczyk Ignacy, 2) Leszczyk Jan.

N. Sercu Jezusowemu całej naszej Ojczyzny. W akcie tym w sposób uroczysty zwraca się Episkopat polski do N. Serca Jezusowego, by całą naszą Ojczyznę przyjęło pod swoją opiekę. Niech ci, co rządzą, w Imię Twoje — mówi akt poświęcenia — go nadzieje. Po odczytaniu aktu poświęcenia orkiestra wojskowa odegrała „Boże coś Polskę“... poczem Prymas zaintonował pieśń „Swięty Boże...“, którą podjęli wszyscy uczestnicy uroczystości.

W końcu Prymas udzielił błogosławieństwa zebranym wiernym — poczem ulicą Mikołajską i Kopernika powróciła procesya do kościoła na Wesołej.

Sport w naszej armii.

Wspominaliśmy już niejednokrotnie w naszem piśmie o staraniach, jakich u nas dokłada się, aby naszego żołnierza wyszkolić nie tylko zawodowo, lecz uświadomić go także w kierunku obywatelskim, aby kiedyś, opuściwszy szeregi, nie stanął bezradnie wśród nieznanych dla siebie stosunków. Ta działalność na polu kulturalnem na rzecz naszego żołnierza rozwija się coraz pomyślniej, w murach koszar kształci się on nie tylko na dzielnego obrońcę Rzeczypospolitej, lecz i na obywatela.

Obok tych dwu wymienionych kierunków nie zapomina się także o tem, aby żołnierz znalazł godziwą a pożyteczną rozrywkę, mogącą mu rozjaśnić szare chwile żołnierskiego żywota. I w tym kierunku osiągnięto już bardzo piękne rezultaty, a jedno z pierwszych miejsc zajmują tu gry i zabawy sportowe, łączące w sobie naprawdę „przyjemne z pożytecznem“, przyczyniające się bowiem nie tylko do dania mu rozrywki, ale wpływające także bardzo dodatnio nie tylko na rozwój jego fizyczny, ale



Straszne okrucieństwa Niemców na Górnym Śląsku: Ofiary pruskiego barbarzyństwa: 1) Leszczyk Jan, 2, Leszczyk Ignacy, 3) Kałuża Jan, 4) Leszczyk Józef, 5 i 6) ofiary, których tożsamości nie sprawdzono znalezione w lesie pod Kędzierzynem.

i duchowy. Dziedzina sportu, niegdyś u nas leżąca odłogiem, to bardzo ważny czynnik wychowawczy, który nauczyliśmy się cenić, może trochę zapóźno, biorąc w tem przykład z zagranicy, gdzie rezultaty tego systemu wychowania są już bardzo widoczne. Zabawy i gry sportowe, umiejętnie stosowane, przyczyniają się skutecznie nietylko do wyrobienia tężyzny ciała, ale dają sposobność także i do kształcenia umysłu. Przy takiej naprzykład grze w piłkę nożną ma uczestnik sposobność rozwinięcia w całej pełni i wyrobienia zmysłu oryentacyjnego i daleko idącej kombinacyi. Gra ta, na oko może nieco brutalna, zyskała sobie przecież za granicą zwłaszcza zaś w Anglii, pełne prawo obywatelskie, a przeszczepiona na nasz grunt, stanęła na tym punkcie rozwoju, że śmiało rywalizować możemy z tymi, którzy byli naszymi mentorami.

Znaczenie i doniosłość zabaw i gier sportowych uznały też w całej pełni i sfery kierownicze naszej armii, starają się też wszelkiemi sposobami o to, aby, w miarę sił i możności, krzewić w szeregach jak największe do nich zamiłowanie. Poszczególne oddziały wojskowe posiadają już swe własne sportowe drużyny, a praca w tym kierunku postępuje ciągle naprzód. Żołnierz nasz bardzo chętnie oddaje się zajęciom sportowym, uważając je za rozrywkę, gdy przecież mają one dlań daleko donioślejsze znaczenie.

Za zasługę uznać też należy lubelskiemu D. O. G., że sprawą budzenia zamiłowania do sportu i jego rozwojem zajęło się bardzo energicznie, a jakie dotychczas na tem polu osiągnięto wyniki, świadczy publiczny popis, który się odbył w Lublinie w ubiegłym miesiącu, budząc ogólne zainteresowanie nie tylko w sferach wojskowych lecz i wśród cywilnej publiczności.

W niedzielę dn. 15 maja b. r. popołudniu wprost wymarzona pogoda dla zawodów lekkoatletycznych zgromadziła na boisku B. Z. 8 pp. Leg. liczne rzesze dystyngowanej publiczności.

Już od godziny wpół do trzeciej ciągnął nieprzerwany łańcuch pieszy, powozów, automobili dorożek w kierunku gościńca warszawskiego.

Nowe boisko B. Z. 8 pp. Leg., którego poświęcenia dokonał tutejszy proboszcz garnizonu przed południem w dniu zawodów; prezentuje się bardzo okazale trybuna, skocznie, plac szturmowy, bieżnia w porządku.

Z zaproszonych gości zjawili się na trybunie ks. biskup Fulman, ks. biskup Jełowiecki, ks. rektor Radziszewski, płk. Bokszczanin i szef szt. major Arciszewski, prezydyum miasta z p. Szczepańskim prezydentem i prezesem Rady miejskiej Turczynowiczem, wicerektor Chyliński i wiele wybitnych osobistości ze Lublina i okolicy. O godz. 3 ciej min. 45 rozpoczęto od otwarcia „Dnia Sportowego".

Otwarcia dokonał jen. Jędrzejewski, a współzawodnicy ustawieni w dwu szeregach na boisku, wznieśli okrzyk na cześć Niepodległej Ojczyzny.

Muzyka zagrała hymn.

Współzawodnicy do „biegu ulicznego" zostali automobilami odwiezieni na start przed budynek Dowództwa Okręgu Generalnego. W międzyczasie publiczność z zajęciem obserwowała grę „Piłką olbrzymem".

Do zawodów stanęło zgórą 130 współzawodników, cyfra wprost imponująca, stwierdza dokładnie o rozwoju sportu i interesowaniu się nim.

Wyniki jak na początek sezonu (trzeba wziąć pod uwagę, że wielu współzawodników było jeszcze zupełnie bez treningu), były bardzo dobre.

Po kilku minutach oczekiwania rozległ się strzał; to sygnał, że biegacze mijają budynek Komendy Miasta — jeszcze kilka minut upływa, a widzimy zdala zbliżającą się w ostrem tempie grupę czołową współzawodników — w bardzo dobrym finishu przyszedł pierwszy do mety kpr. Majcher, który na przestrzeń dwu i pół kilometra pod górę potrzebował 8 minut i 30 sekund, drugim był szeregowiec Walewski M., trzeci szeregowiec Bobowski T. Startowało do tego punktu 32 zawodników. Potem jak w kalejdoskopie zmieniały się szybko obrazy rzutów, biegów, skoków itd.



Sport w naszej armii: Zwycięzcy i uczestnicy lubelskich zawodów lekkoatletycznych w dniu 15 maja b. r. z dowódcą O. G. jenerałem Jędrzejowskim w pośrodku.

Teraz przypatrzmy się poszczególnym wynikom:

Pchnięcie kulą. 1) szereg. Gutowski J. 8·75 m., 2) st. szer. Flis J., 3) kpr. Bajończyk S. — na 8 zawodników.

Rzut dyskiem. 1) kpt. Kotowski S. 28·15 m, por. Sterba S., 3) por. Jarosz D. — na 9 zawodn.

Rzut oszczepem. 1) st szer. Flis J 29·90 m., 2) ppor. Zdenich L., 3) ppor. Marek S. — na 7 zawodników.

Bieg 100 m. 1) ppor. Sterba F. 12 sek., 2) kpt. Kotowski S., 3) sierż. Janicki J. — na 25 startujących.

Skok w dal. 1) kpr. Grzesik 5·30 m., 2) por. Sterba F., 3) kpt. Matuszewski J. — na 19 zawodn.

Skok w wyż. 1) por. Jarosz D. 149 cm., 2) por. Sterba F., 3) plut. Widnicz M. — na 9 startujących.

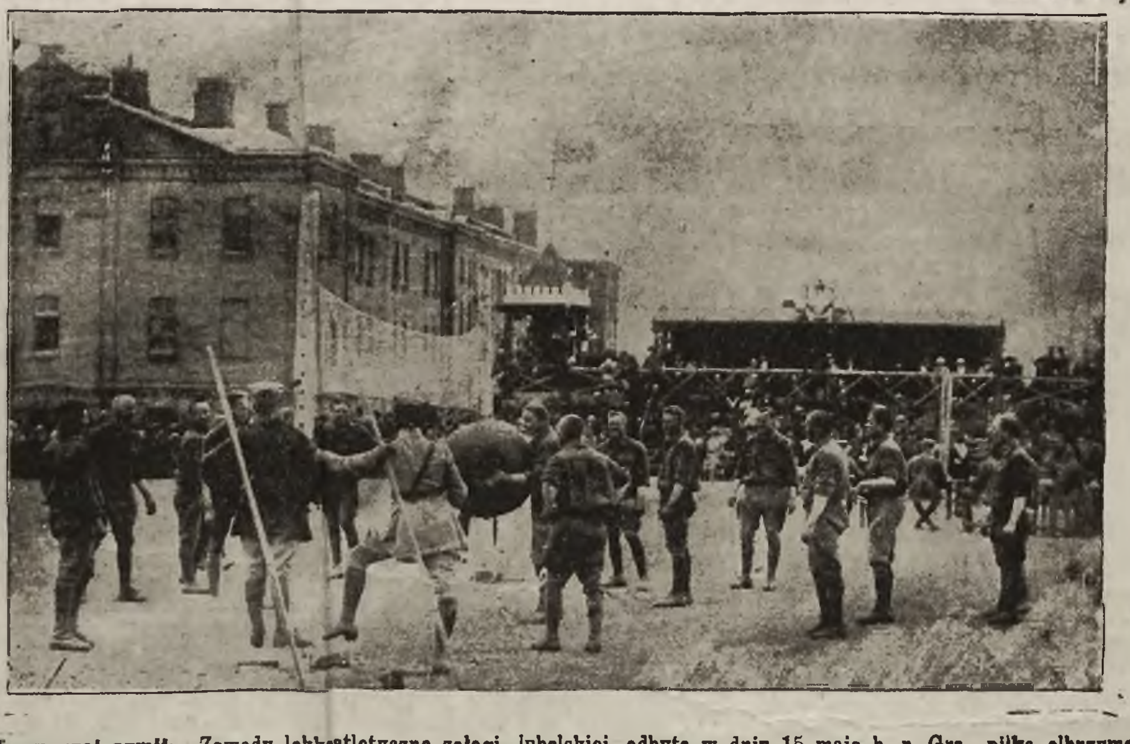
Skok o tyczce. 1) por. Jarosz D. 2·50 m., 2) plut. Pliszczyński J., 3) sierż. Janicki — na 4 zawodników.

Rzut granatem. 1) kpr. Pawelec J. 47 m. 2) szer. Gutowski J. 3) kpr. Godula M. — na 17 zawodników.

Bieg rozstawny. 1) drużyna Okr. Szkoły podof. Nr. 3, 2) drużyna B. Z. 8 pp. Leg., 3) drużyna B. Z. 23 pp.

Bieg szturmowy. 1) drużyna B. Z. 23 pp., 2) drużyna Okr. Szkoły podof. Nr. 2, 3) B. Z. 8 pp. Leg.

Match piłki nożnej. 1) B. Z. 8 pp. Leg. — C. Z. 26 pp. 1.0 (1:0). W pierwszej połowie 35 minucie zyskują biali pierwszy i ostatni punkt. Wynik świadczy o małej przewadze zwycięzców. Grę prowadzono w niesłabnącem tempie, dość ostro — tylko zgranie obu drużyn było nadzwyczajne — jednakowoż jak na pierwsze spotkanie w sezonie b, dobre. Sędziował bardzo poprawnie por. Sterba z L. K. S. „Pogoń".



Sport w naszej armii: Zawody lekkoatletyczne załogi lubelskiej, odbyte w dniu 15 maja b. r Gra „piłką olbrzymem".

Przed matchem piłki nożnej D-ca Okr. Gen. jen. Jędrzejewski przemówił do zwycięzców i rozdał im bardzo gustowne nagrody.

Lublin się przezwyciężył. Już zaczyna się sportem interesować — dał dowód, że jest miastem żywotnem, świadczy o tem wielotysięczny tłum publiczności, zgromadzony na boisku.

Przegląd sił młodych narodu wypadł bardzo dobrze; na młodzież szkolną zawody zrobiły należyte wrażenie — teraz obowiązkiem starszych profesorów, nauczycieli i rodziców jest dbać o to, by zapewnić młodemu pokoleniu możność racyonalnego i zdrowego rozwoju ciała i co z tem jest połączone, do wyeliminowania rozmaitych zaległości i złych naleciałości wojennych.

Czysty dochód przeznaczono na cele oświatowe dla żołnierza.

W ślad za wojskowością i cywilna ludność Lublina baczniejszą uwagę zaczyna zwracać na wychowawcze znaczenie zabaw i gier ruchowych. Inicyatywę w tam kierunku podjął tamtejszy „Sokół", a zabiegi jego nie pozostały bez skutku. Szeregi miłośników sportu rosną w Lublinie z każdym dniem, coraz częściej garną się do nich nawet i ci, który dotąd nie przyznawali temu kierunkowi wychowania takiego znaczenia na jakie w samej rzeczy zasługuje.

Wielkie korzyści

PP. Kupcom i Przemysłowcom przynosi

abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik	„Kupiec“	prenumerata kwart.	M. 100 —
„	„Drogerzysta“	„ „	72—
„	„Przegląd włóknisty“	„	72—
Dwu. „	„Dom gościnny“	„ „	50—

Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem **2 Marek.**

Adres zamówień:

POZNAN, UL. WIELKA 19.



Tracę siły, tracę zdrowie, co też gospodyni powie, bielizna jest brudna, zdarta, muszę szukać mydła z dzwonkiem **„Fat“a.**



Szukałam parę lat, aż dostałam mydła „FAT“ bielizna jest biała, czysta nie zniszczona na czas... lat, bo piorę jedynie mydłem „FAT“ Mydło z dzwonkiem „FAT“ oszczędza bieliznę na parę lat.

W Administracyi Nowości Illustrowanych jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1914-15-16 roku).

Cena 50 Marek polskich.

GONIEC KRAKOWSKI

Wielkie pismo codzienne o bardzo bogatym dziale politycznym, społecznym i gospodarczym, referowany przez pierwszorzędne pióra polityczne.

Zamieszcza najświeższe informacye telefoniczne i telegraficzne. Posiada doskonale zorganizowaną sieć własnych korespondentów.

Przynosi: najświeższe informacye z kraju i zagranicy, w szczególności handlowe i giełdowe, wszelkie projekty Rządu i Sejmu na polu gospodarczem, oraz wszelkie zarządzenia Władz w tej dziedzinie, omawiając je szczegółowo i krytycznie.

Obfitą i wyborową treść uzupełnia nadto dział: naukowy, wojskowy, literacki i artystyczny. Doskonałe migawki humorystyczne, dział szaradowy (co drugą niedzielę 6 cennych nagród), dział mód, wyborne powieści i. t. d.

DZIAŁ OGŁOSZEŃ zapewnia inserentom pierwszorzędne korzyści.

Do nabycia na całym obszarze Rzeczypospolitej. — Na żądanie wysyła się numery okazowe.

WAŻNE DLA SZKÓŁ!

POCZET KRÓLÓW POLSKICH

Obraz barwny 74×100 cm. artystycznie wykonany według Jana Matejki z oryginałów prof. Stroynowskiego i Papieskiego ukazał się nakładem

SALONU MALARZY POLSKICH

Henryk Frist, Kraków, ul. Floryańska L. 37.

Cena wraz z opłatą od przedmiotów zbytku Mk. 220 — z przesyłką pocztową Mk. 235. — Księgarnie, kupcy, uczelnie i zakłady wojskowe otrzymują znaczny opust.

WAŻNE DLA SZKÓŁ!

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

ZA MĄŻ wyjść lub się **OŻENIĆ** można przez jedyne w Polsce pismo „FORTUNA“ Redakcja Kraków Rynek Gł. 11. Nr. 20. jest wszędzie do nabycia i na stacjach kolejowych —

„HUMOR POLSKI“

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny

Do nabycia w całej Polsce

Cena egz. 15 Mk.

„BOCIAN“

Dwutygodnik humorystyczny

Do nabycia we wszystkich Ajencyach

Cena egz. 20 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi

Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 40 marek

Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“



Ach! całą swoją twarz zniszczyłem dotychczasowem mydłem do golenia.

A przecież dobrze radził mi mój brat, że najlepsze mydło do golenia jest „Fat“!



Najstraszniejszy reumatyzm, wszelkie bóle głowy, choroby żołądka, płuc, nerek, kiszek, wątroby, katary płuc, gruźlicę leczy wprost zdumiewająco i szybko jedyna naturalna metoda lecznicza prof. amerykańsk. Chittendena

Przyślijcie 41 do „Promienia“ Kraków WW. Świętych 8, a otrzymacie wykład tej zdumiewającej metody.

Księgarnia Dra Wł. Miłkowskiego

(Kraków, Floryańska 1.)

sprzedaje niewielką resztę egzemplarzy następujących dzieł, oddawna wyczerpanych w handlu księgarskim:

Bartoszewicz K. Księga pamiątkowa Konstytucyi 3 maja. 2 tomy. — Cena 50 marek.

Bartoszewicz K. Antysemityzm w Polsce do końca wieku XVII. Cena 120 marek.

Niemcewicz J. U. Powieści poetyczne. — Cena 20 mk

Rutowski Tadeusz. W sprawie przemysłu krajowego. — Cena 40 marek.

Rutowski Tadeusz. Przemysł cukrowniczy, jego wpływ na rolnictwo. Cena 30 marek.

Minister **Flo yan Ziemiałkowski.** (Kartka z dziejów Galicyi, z portretem). — Cena 20 marek.

PRZEMYSŁOWCY! PRZEMYSŁOWCY!

IMPORT & EKSPORT

Towarzystwo Handlowe Imigracyi Stanów Zjednoczonych Ameryki

ma wielki zbyt na towary polskiego wyrobu. Również zamówienia z kraju uskutecznia bezzwłocznie. Piszcie lub telegrafujcie do IMMIGRANT COMMERCE ASSOCIATION

Adres telegraficzny: „IMCOM BUFFALO“.

L. A. Prosiński, Prezydent. 1078 Broadway

W. J. Bukowski, Vice-Prezydent. Buffalo, N. Y. U. S. A.

Wszelkie poszukiwania i informacye załatwia się natychmiast.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.